

W oparciu o prawdę i wspólnotę

Z księdzem prał. Witoldem Andrzejewskim o gorzowskim Duszpasterstwie Akademickim rozmawia Grażyna Pytlak

- Jesienią 1972 r. w Gorzowie, w mieście, gdzie oprócz poznańskiej filii AWF nie było żadnej wyższej, stacjonarnej uczelni, powstało Duszpasterstwo Akademickie (DA). Powołanie takiego duszpasterstwa było w planach księdza rozpoczynającego pracę na pierwszej w życiu placówce duszpasterskiej?

- Kończąc seminarium nie wiedziałem oczywiście gdzie przyjdzie mi pracować. Z duszpasterstwem akademickim miałem kontakt przez wiele lat. Najpierw jako świecki student, później pracując jako aktor w gorzowskim teatrze byłem związany z duszpasterstwami ojca Huberta Czumy, najpierw w Łodzi, następnie w Gdańsku i w Lublinie. Gdy byłem w seminarium, prawie całe wakacje spędzałem z ojcem Hubertem na obozach organizowanych przez te duszpasterstwa.

Po święceniach zostałem skierowany do pracy do parafii pw. Niepokalanego Poczęcia. Zaproponowałem ówczesnemu proboszczowi, ks. Jerzemu Płóciennikowi, że rozpocznę tego typu działania na rzecz gorzowskiej młodzieży. On oczywiście się zgodził, więc nie zwlekając ogłosiłem to w kościele. Przyszło 13 osób. To było w końcu października 1972 roku, a spotkanie odbyło się w moim pokoju. Po kilku miesiącach przenieśliśmy się na ulicę Chodkiewicza i zamieszkałem przy kaplicy należącej do mojej parafii. Tam już zaczęliśmy działanie ośrodka na większą skalę, a ja zostałem formalnie uznany duszpasterzem akademickim.

- Można więc powiedzieć, że ksiądz miał już dość bogate doświadczenia związane z funkcjonowaniem DA, natomiast dla młodzieży, która przyjęła tę propozycję, była to zupełna nowość. Duszpasterstwo gorzowskie wypracowało sobie jednak bardzo odrębny, specyficzny styl i mimo, że młodzieży studiującej na wyższych uczelniach było tam bardzo niewiele, to jednak poziom tego duszpasterstwa budził respekt ośrodków, funkcjonujących w poważnych środowiskach akademickich i to od samego początku istnienia DA w Gorzowie. Był to rezultat zamierzony, czy też był wynikiem pewnych dążeń gorzowskiego środowiska młodzieżowego?

- Nie można żadnych programów czy metod działania przenosić mechanicznie z jednego środowiska do innego. Trzeba zawsze brać pod uwagę warunki lokalne. Środowisko stawia określone wymagania i nawet jeżeli ich nie werbalizuje, to daje odpowiedź akceptując, już to odrzucając niektóre propozycje. Styl naszej pracy polegał między innymi na otwartości ośrodka na każdego młodego człowieka, który chciał do nas przyjść. Nie pytaliśmy o indeksy, ale DA od początku miało swój poziom, z którego nie mieliśmy zamiaru zrezygnować. Jeżeli ktoś narzekał, że jest on dla niego za wysoki, a podejmowane tematy za trudne, to doradzaliśmy mu intensywne uzupełnianie braków.

- Stale poszukiwaliśmy nowych, skuteczniejszych formuł pracy... Jaka była ich zasada?

- Moje dawne doświadczenia pochodziły z przelomu dwóch orientacji: przedsoborowej i soborowej. To może ułatwiło nam poszukiwanie, a nie korzystanie z gotowych wzorów. Kiedy zaczynałem swoje bywanie w DA, jeszcze za moich czasów studenckich, to na przykład nie było

tam formacji liturgicznej. Praca w duszpasterstwach polegała przede wszystkim na wykładach. Rzadko łączono spotkania z mszą św., co dzisiaj jest już praktyką oczywistą. Pamiętałem jednak, że w formacji wewnętrznej bardzo pomagały nam obozy, podczas których wiele razem modliliśmy się. Te doświadczenia spowodowały, że w Gorzowie wprowadziliśmy w życie DA oba elementy: formację intelektualną i duchową. Na początku mieliśmy mszę św. raz w miesiącu, później, co tydzień, a w końcu prawie wszystkie spotkania były połączone z Eucharystią, oczywiście nie licząc mszy św. niedzielnych.

Formacja intelektualna odbywała się równolegle na trzech płaszczyznach: filozoficznej, teologicznej i etycznej. Wprowadziliśmy też elementy nauki społecznej i edukacji historycznej. Ze względu na zakłamanie, z jakim mieliśmy do czynienia w systemie komunistycznym; było to wymogiem czasu. Wykłady z historii prowadzili specjaliści, sprowadzani z różnych stron Polski. O tę niezależną historię komunii mieli do nas ogromne pretensje.

Duszpasterstwo wypracowało cykl pracy tygodniowej, w którym było miejsce na wykłady, konwersatoria i spotkania modlitewne. Oprócz tego msze św. poprzedzające wykłady, rekolekcje wielkopostne i adwentowe, dni skupienia, udział w warszawskiej pielgrzymce na Jasną Górę, letnie obozy.

Istniały również pewne nieformalne formy życia duszpasterstwa. Duszpasterstwo było miejscem, które traktowaliśmy jako nasze'. Tam po prostu można było przyjść o każdej porze, porozmawiać, podyskutować, napić się herbaty, posłuchać muzyki, wypożyczyć książkę. Organizowaliśmy wiele imprez, podczas których doskonale się bawiliśmy, np. andrzejki, sylwestra, nawet wesele. To bardzo przyciągało młodzież.

Jak pamiętasz, udział młodzieży w formacji intelektualnej polegał na osobistej pracy uczestników spotkań. Tam nic nie było podane w formie gotowej, nie było też czegoś takiego, co można nazwać pobożną papką'. Kilka było przyczyn, dla których młodzież chętnie przychodziła do ośrodka. Z jednej strony panowała tam atmosfera wzajemnej życzliwości. Stale mieliśmy ambicję tworzenia wspólnoty otwartej na każdego człowieka. Oczywiście spotykaliśmy się z zarzutami, że pewna grupa osób stanowi jakąś ośrodkową elitę, na co proponowaliśmy po prostu włączenie się takiego narzekacza' do współpracy, choćby do prac porządkowych. Po drugie, ośrodek działał samodzielnie. Wszystkie sprawy organizacyjne należały do ludzi, którzy tam przychodzili, a nie do mnie. Sam niczego nie organizowałem, ale wszystko, co chcieliśmy zrobić razem, musiało być zorganizowane dobrze. Duszpasterstwo nie było miejscem świadczenia przez Kościół religijnych usług, lecz miejscem życia wspólnoty.

- W szóstym roku istnienia ośrodka przeżyliśmy razem niezwykle wydarzenie -- ogłoszenie rozpoczęcia pontyfikatu przez kard. Karola Wojtyłę. Tego wieczoru, kierowani jakimś odruchem bezwarunkowym, w sposób najszybszy z możliwych zjawiliśmy się w duszpasterstwie, aby wyrazić swoją radość i wtedy odbyła się jedyna w swoim rodzaju msza św. dziękczynna. Skupiliśmy się wtedy jak najbliżej ołtarza, pamiętam modlitwę wiernych, w której już wtedy zdradzaliśmy przecucie niezwyklej szansy, jaką zesłały nam niebiosa. Czy ksiądz wtedy też tak to odebrał?

- Ładunek emocjonalny tego wydarzenia był przeogromny. Pamiętam, że wtedy nie można było się do nikogo dodzwonić, bo wszystkie łącza przekazywały tę najważniejszą informację. Wiele razy podczas tej mszy św. powtarzało się słowo: Polska, Ojczyzna, intuicyjnie wyczuwaliśmy, że jest to dzień początkujący coś nowego w naszym życiu indywidualnym i społecznym....

Noc poprzedzającą inaugurację pontyfikatu postanowiliśmy spędzić na modlitwie, a później razem obejrzeć tę uroczystość w telewizji. Pojechaliśmy do Bledzewa. Oglądając transmisję z Rzymu, braliśmy udział w modlitwie Kościoła tak, jakbyśmy byli tam, na miejscu. Wtedy

nie oglądaliśmy tej mszy św., myśmy w niej razem z Ojcem Świętym uczestniczyli.

To było chyba nasze pierwsze spotkanie z mszą św. w telewizji. Następna była pasterka z Watykanu. Wtedy zrozumieliśmy, do czego może służyć telewizja albo radio. Takich transmisji, jak długo żyliśmy w PRL, nie oglądaliśmy.

- Papież był powodem naszej pierwszej zorganizowanej akcji rozklejania plakatów na mieście. Mam jeszcze taki plakat. Widnieje na nim napis: „Wszystkie drogi Kościoła prowadzą do człowieka”. Jedna z ekip wyszła z mojego mieszkania. Doskonale pamiętam, że koledzy przyklejali je na klej stolarski, solidnie. Wprawdzie bezpieka je zrywała, ale ślad po kleju pozostał przez długie lata. To była pierwsza akcja, z którą wyszliśmy na zewnątrz, ale mieliśmy za sobą już pewne doświadczenia w kontaktach z powstającą w Polsce opozycją antykomunistyczną i kolportowaliśmy w zasadzie wszystko, co się wtedy ukazywało poza oficjalnym obiegiem.

- Bezpieka wiedziała, że bibuła w DA jest kolportowana, ale nie umieli tego rozgryźć. Nikt z nas nie „wpadł”, też nikt nie wydał skąd się ona bierze. Na terenie DA mieliśmy ośrodek myśli niezależnej. W moim przekonaniu w ogóle duszpasterstwa akademickie w tamtym czasie, to były jedyne środowiska, które uczyły ludzi odwagi myślenia i działania. Ówczesna cenzura nie pozwalała nawet używać w publikacjach pojęcia „duszpasterstwo akademickie”. Trudno się dziwić. Duszpasterstwa akademickie były pewną zorganizowaną strukturą, miały ze sobą kontakty, wymieniały między sobą niezależne informacje, podejmowały skoordynowane działania, wymknęły się spod kontroli władz i nawet próby inwigilacji tych środowisk były nieskuteczne, bo niektóre działania po prostu były zakonspirowane.

Pamiętam, że podczas pielgrzymek warszawskich ci, którzy szli z grupami akademickimi, odkrywali smak naszej niezależności, wolności słowa i myśli, nad którymi nie dominował strach. W duszpasterstwach nie tylko mówiło się o wolności, ale się ją realizowało. Pamiętam, jak ludzie byli zafascynowani faktem, że mogą mówić to, co myślą, że to ich prawo i że są traktowani poważnie. Przychodzili do nas nie tylko wierzący. Dyskutowało się z nimi, przekonywało, ale nie odtrącało się nikogo dlatego tylko, że się z nami nie zgadzał.

W stanie wojennym walczyliśmy o prawo do wolności słowa. Mówiliśmy: nie musimy się ze sobą zgadzać, ale warto życie oddać za to, abyśmy w Polsce mogli bez lęku ze sobą rozmawiać. Wydaje mi się, że dzisiaj niekiedy zapominamy o tym. W sytuacji niewoli najmniejszy przejaw wolności smakuje zupełnie inaczej. Teraz, kiedy za wolne słowo nikt nikogo nie prześladowuje, to wydaje się to tak oczywiste, jak powietrze, o którym się nie myśli.

Nie podzielam poglądu, że obecnie wolność słowa nie napotyka na żadne przeszkody. Mam na myśli wolność, a nie samowolę, która szerzy się bez ograniczeń. Ale to inny temat.

- Po pierwszej pielgrzymce Papieża wypadki zaczęły toczyć się szybko. Za rok powstała „Solidarność”. „Weterani” DA natychmiast włączyli się w działalność publiczną i poszli w dojrzałe życie...

- Ale nie zerwali kontaktu z duszpasterstwem. To zupełnie oczywiste, że w DA nie można tkwić zbyt długo. Byłoby nienormalne, gdyby ludzie po kilku latach formacji nie umieli podejmować samodzielnych i odpowiedzialnych decyzji. Starsi odchodzili, na ich miejsce przychodzili młodzi...

- Kiedy pierwszy garnitur duszpasterstwa siedział w kryminalach za „Solidarność”, nasi młodzi następcy razem z księdzem w sposób niezwykle troskliwy zaopiekowali się

naszymi rodzinami... Nie, nie tylko tymi związanymi z DA, ale wszystkimi rodzinami tych osób, które trafiły do więzień i do ośrodków internowania.

- Jednym z zarzutów dla których zasługiwaliście na odosobnienie był przecież „czynny udział w Duszpasterstwie Akademickim”.

- Tak, ale obok tego był też zarzut o współdziałaniu ze wszystkimi niezależnymi organizacjami, jakie powstały w Polsce jeszcze przed „Solidarnością”. W odniesieniu do bywalców DA wymieniano: KOR, KPN, Młodą Polskę, nie mówiąc o ciosie, jaki zadało ustrojowi prowadzone przeze mnie pismo „Solidarność Gorzowska”, a który sprowadzał się do tego, że „linia pisma była niezgodna z linią polityczną PZPR”. To wszystko - zdaniem bezpieki -- zostało „wychodowane” w DA!

- Duszpasterstwo w stanie wojennym zmieniło styl swojego działania. Oczywiście formacja duchowa, intelektualna przez cały czas się odbywały. Natomiast odeszliśmy od pewnych form życia towarzyskiego i rozrywki. Tak zdecydowała sama młodzież, uważając, że byłoby to w takich okolicznościach po prostu niesmaczne. Równocześnie formy działania duszpasterstwa zostały rozszerzone o pomoc rodzinom ludzi uwięzionych. Byliśmy chyba jedynym miastem w Polsce, w którym rodziny osób internowanych i więzionych nie musiały przychodzić i prosić o pomoc.

- Ta zasada przetrwała także wtedy, kiedy powstał Diecezjalny Komitet Pomocy jako filia Komitetu Prymasowskiego. Z mojego rozeznania wynika, że rzeczywiście byliśmy jedynym ośrodkiem, gdzie my pierwsi przychodziliśmy do rodziny represjonowanego natychmiast po informacji, że został zatrzymany.

- To nie był mój pomysł. Młodzież powiedziała, że przychodzenie z prośbą o pomoc jest dla tych rodzin upokarzające, że nie wszyscy zdecydowaliby się o coś prosić. Postanowiono dostarczać pomoc do domów. Zorganizowali to doskonale.

- Drugie spotkanie z Papieżem w Polsce miało już inny charakter. Papież powiedział w Gdańsku: „Mówię za was” , a my zasmakowaliśmy już wolności i przeczuliśmy, że z tej walki „Solidarność” wyjdzie zwycięsko. Mieliśmy dobrze zorganizowane podziemie, pomoc dla prześladowanych, wydawaliśmy niezależne pisma, dzięki jednoczącej sile obozów internowania mieliśmy liczne i bezpieczne kontakty z całą opozycją i wielu ludzi po prostu się nie bało. Papież podtrzymał nas na duchu, dodał odwagi, mieliśmy mocne oparcie moralne w duchowieństwie i azyl w Kościele dla wszystkich, którzy go potrzebowali. Na terenie diecezji Gorzów był najsilniejszy ośrodek opozycyjny. Jednym z czynników, który spowodował tę sytuację, było DA. Ono w pierwszym okresie stanu wojennego wiedziało, co robić, kiedy działacze „Solidarności” zostali uwięzieni. Jestem przekonana, że bez DA i bez księdza nie byłoby aż tak dobrych pomysłów. Czy ksiądz już wtedy przewidywał szybki koniec komunizmu?

- Nigdy nie miałem wątpliwości, że komunizm się rozleci. Wtedy było już widać, że koniec się zbliża. Jakies dwa lata później, na pielgrzymce ludzi pracy w Częstochowie zapowiedziałem, że wkrótce będziemy wolni. Wtedy jeden z hierarchów stwierdził dobroduszenie, że może troszeczkę przesadziłem, ale nie miał nic przeciwko upadkowi komuny i to jak najszybszemu. Byłem pewien, że doczekam wolności, chociaż nie wiedziałem jak się to stanie. Bałem się, że może

nawet dojść do krwawych zająć. Wiedziałem jednak, że jestem świadkiem początku końca systemu. Wtedy to już było dla mnie jasne.

- Ksiądz zaistniał w świadomości Gorzowian jako duszpasterz akademicki, ale w pewnym momencie, zmienił Ksiądz status z duszpasterza akademickiego - chociaż dla nas był nim nadal - na duszpasterza świata pracy, na duchownego, który wspierał dążenia „Solidarności”.

- Dość powszechnie znane były moje wystąpienia antykomunistyczne i myślę, że stąd się wziął ten kontakt z „Solidarnością”. Zresztą nie musiałem na „Solidarność” czekać, ponieważ zawiązywała się ona na plebanii parafii katedralnej, przy której wtedy działało nasze DA. Dzięki wystąpieniom przeciw komunizmowi miałem u ludzi otwarty kredyt zaufania. Jak pamiętasz - byłem w ścisłym związku z „Solidarnością”, mimo że skupiała ona różnych ludzi, także dość dalekich od Kościoła.

Formacja patriotyczna prowadzona w DA już od 1972 roku dawała pozytywne rezultaty. Z tego środowiska dzisiaj wiele osób uczestniczy w życiu społecznym, politycznym, gospodarczym, nie mówiąc, że zaznaczyły one swoją obecność w działaniach opozycyjnych. Trudno jednak nie pamiętać, że wiele osób z DA, dotkniętych represjami stanu wojennego, wyemigrowało.

- Stan wojenny to był także schyłek tej formuły duszpasterstwa akademickiego, jaką pamiętam z lat siedemdziesiątych. To duszpasterstwo powoli gasło. Z chwilą objęcia przez księdza probostwa DA stało się zupełnie inne. Inni duszpasterze nie znaleźli formuły, która byłaby równie atrakcyjna jak ta nasza. Podobnie, po 1989 roku zgasło duszpasterstwo ludzi pracy...

- To chyba nie jest problemem tylko naszego środowiska. Jak zwykle w okresach przejściowych dość trudno jest znaleźć nowe formuły działania. Wiemy dobrze, że całe duszpasterstwo związane z młodzieżą jest w okresie takich poszukiwań. Przyszły nowe czasy i potrzeba zmian. Kościół nieustannie głosi to samo, natomiast w każdej epoce robi to inaczej. Sposób prowadzenia do Chrystusa, do prawdy, do wolności itd. musi się zmieniać i teraz nadszedł czas przemian. Niektóre inicjatywy jednak przetrwały, jak choćby pielgrzymki do Częstochowy, zainicjowane przez DA w 1983 roku,.

- Po dwudziestu latach od powstania DA środowisko z nim związane zorganizowało spotkanie. Jak ksiądz je przeżył?

- Przyjechało około 120 osób. Wielu innych przysłało usprawiedliwienia. Spotkanie było dwudniowe. Najpierw spotkaliśmy się tam, gdzie ono się zaczęło, a więc w mojej parafii, a drugiego dnia pojechaliśmy do Rokita. Tam uczestniczyliśmy we mszy św., w drodze krzyżowej, w konferencji, była chwila modlitwy i adoracji, a później przenieśliśmy się do Santoka, gdzie wójtem był jeden z absolwentów naszego duszpasterstwa i tam mieliśmy przygotowane dalsze atrakcje, które pokrzyżował deszcz. Musieliśmy pozostać w sali. Było wspaniale: mnóstwo rozmów, radości, każdy chciał porozmawiać z każdym, chociaż nie wszyscy byli w stanie się rozpoznać. Zastała nas północ.

- Czyli zgodnie z tradycją, kiedy po burzliwych dyskusjach w DA wracaliśmy do domów, nieraz po północy, nasi najbliżsi nie mogli pojąć, co też o tej porze można robić w duszpasterstwie?

- Wiem, że niektórzy rodzice składali nawet skargi do kurii biskupiej. Biskup Wilhelm Pluta zaprosił mnie na tzw. dywanik, ale kiedy mu wyjaśniłem o co chodzi, to dobrotliwie poradził mi zaczynać mszę św. o pół godziny wcześniej.

- Przychodziliśmy na mszę na 19.00. Około 21.00 zaczynaliśmy wykłady, po których dyskusja trwała niekiedy do 2.00 nad ranem, a następnie szliśmy do pracy lub do szkół i tak było dwa, trzy razy w tygodniu.

- Sposób, w jaki ci młodzi ludzie potrafili zorganizować sobie życie, był rzeczywiście nietypowy. Przypomnij sobie np. sylwestra. Mszę św. rozpoczynaliśmy po złożeniu sobie życzeń, a więc około godziny 1.00. Trwała długo, nikomu się nie spieszyło. Później bawiliście się do rana, a sygnałem do zakończenia zabawy była pierwsza msza poranna w Nowy Rok. Po południu, wyspani, przychodziliście posprzątać, a ja szedłem spać. To sprzątanie kończyło się późnym wieczorem, bo oczywiście nikomu nie chciało się stamtąd wyjść. Warto też powiedzieć, że nawet w sylwestra nie było ani kropli alkoholu, nawet przysłowiowej lampki szampana. W to nikt nie chciał wierzyć, ale tak było.

Anegdot o naszym duszpasterstwie można byłoby opowiadać bez liku. Często dotyczyły one pewnych akcji безпеки, która dość szybko uznała nas za towarzystwo, stanowiące duże zagrożenie dla „pokój miłującego” ustroju.

- Mimo demonstrowanej bez troski, zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że nie jest to zabawa, a wchodzenie w rolę opozycji politycznej i może to mieć poważne następstwa w naszym życiu osobistym i zawodowym. I tak było. Bezpieka prowadziła liczne akcje wymierzone przeciwko księdzu; akcje obrzydliwe i bardzo nękające. Podobnie zaczęto nękać osoby w jakimś sensie wyróżniające się w duszpasterstwie. Zaczęła się systematyczna inwigilacja. Mieliśmy jednak duże wyczucie, ponieważ to, co nie powinno, z duszpasterstwa się nie wydostawało.

- Nasze poczucie bezpieczeństwa miało kilka przyczyn. Po pierwsze, nie baliśmy się słowa i nie konspirowaliśmy tego, czego nie trzeba było. Tajemnicą objęty był tylko kolportaż bibuły i niektóre spotkania z działaczami opozycji. Jeżeli któryś z nich przyjeżdżał, to zazwyczaj miał otwarty wykład, który zapowiadaliśmy z ambony. Nie baliśmy się i nie wytwarzaliśmy atmosfery strachu. Publicznie także informowaliśmy o jakichkolwiek próbach wzywania młodzieży na bezpieczeńkę. Zresztą każdy wezwany natychmiast rozpowiadał o wezwaniu i o przebiegu „rozmowy”.

Muszę przyznać, że lęk skutecznie niwelowany był przez poczucie oparcia we wspólnocie, w grupie. To była luksusowa sytuacja w porównaniu z jakimś samotnym opozycjonistą, który swoje kontakty ukrywał nawet przed najbliższą rodziną. Prawda, nie wszyscy w DA byli wtajemniczeni w działania niepodległościowe. To dotyczyło pewnej ograniczonej grupy osób.

Mieliśmy kilka osób, które pracowały wśród nas dla bezpieczeństwa, ale wiedzieliśmy kto to jest. Pamiętam jednego, który kiedy zorientował się, że wiemy, zaczął nas po prostu unikać. Był z nami początkowo bardzo związany, ale – niestety – dał się złamać.

Żył z poczuciem winy, wstydził się. Było go nam autentycznie żal. Po dekonspiracji nie miał odwagi nikomu spojrzeć w oczy... Kiedy spotykało się go na ulicy, nie rozumiał dlaczego odnosimy się do niego normalnie, nie formułujemy zarzutów, nie potępiamy...

Niektórzy mnie pytają, czy nie czuję żalu za tamtymi czasami, które były takie pełne wrażeń, przeżyć, kolorytu... Nie. To były przecież złe czasy; czasy łamania ludzkich sumień. Widziałem, co się działo z tymi, którzy ulegli, dla których słowo prawda było pojęciem

teoretycznym, abstrakcyjnym, żyli w kłamstwie i myśleli, że to tak musi być. Strach kierował ich życiem.

- W naszym DA nie było ani strachu, ani kłamstwa. To przyciągało... Nasze więzi osobiste przetrwały chyba dlatego właśnie, że były zbudowane na prawdzie.

- Tak, dzisiaj możemy się różnić, mamy odmienne poglądy polityczne, idziemy nawet różnymi drogami w Kościele, ale nie ma między nami czegoś bardzo groźnego - nieufności. Nieraz przecież zawzięcie spieramy się między sobą, ale wiem, że Ty mnie nie okłamiesz, a Ty wiesz, że ja nie okłamuję Ciebie. To jest pewne, w to nie wątpimy. Takiej uczciwej relacji nie można spotkać nawet w niejednej rodzinie.

Tu nawet nie chodzi o jakieś sentymenty, ale o tę świadomość, że różniąc się między sobą, nie rezygnujemy z prawdy. To jest luksus w cywilizacji opartej na kłamstwie. Do dzisiaj większość ludzi uważa, że bez kłamstwa nie da się żyć. Jest to straszliwy owoc komunizmu, który długo jeszcze będzie zatruwał nasze życie.

- Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Autoryzowana rozmowa przeprowadzona wiosną 1993 r. dla pisma społeczno-kulturalnego TRAKT. Dla celów niniejszej publikacji ominęłam niektóre fragmenty własnych wypowiedzi. GP.